

KULTURA

Newsweek

Reżyser Wojciech
Kępczyński na
scenie Teatru Roma,
Warszawa, luty 2018 r.



MUSICAL Z HISTORIA

PILOCI ŚPIEWAJĄ W WARSZAWIE

Wielka miłość i najnowsza technologia, patriotyczny nastrój i szybka akcja – Wojciech Kępczyński zna receptę na musicalowy przebój. Jego „Pilotów” obejrzało już ponad 100 tysięcy osób

TEKST JACEK TOMCZUK ZDJĘCIE PAWEŁ KRZYWICKI

W

piątkowy wieczór w Teatrze Roma komplet. I tak jest od października, od premiery „Pilotów”. Musical grany siedem razy w tygodniu obejrzało już ponad 100 tysięcy osób. – Oprócz efektownego widowiska zadecydowała duma z naszych chłopaków, pilotów, którzy zaważyli na losach II wojny światowej. I ta duma nie ma wymiaru politycznego – mówi Wojciech Kępczyński, pomysłodawca musicalu i od 20 lat dyrektor Romy. – Przez ten czas udało mi się zarazić polską publiczność miłością do musicalu. Zaufali nam. Bilety na „Pilotów” zaczęliśmy sprzedawać w maju, pięć miesięcy przed premierą. Już wtedy byli chętni.

PILOCI KONTRA WITKACY

LUTY 2015. Po premierze spektaklu „Mamma Mia” Wojciech Kępczyński tradycyjnie zaprasza najbliższych współpracowników do gabinetu. Trzeba wypić drinka za sukces i zastanowić się, jaki będzie następny tytuł.

– Nic nie kupujemy, robimy swój. Teraz my – stwierdza dyrektor.

Pomysł na polski musical krążył w Romie od lat. Mówiło się o historii królowej Marysienki, o biografii Marii Skłodowskiej-Curie lub hrabiego Jana Potockiego, autora „Pamiętnika znalezionej w Saragossie”. Poważnie myślano o widowisku poświęconym Witkacemu, z romansami, Zakopanem i narkotykami w tle. Kępczyński jednak decyduje, że zrobią musical o polskich pilotach.

– Tym tematem interesowałem się od lat – mówi. – Bracia mojej babci Maks i Jan Lewandowscy walczyli w Dywizjonie 307 Polskich Sił Powietrznych. Po wojnie wyjechali do Kanady. Maks budował domy. Jan miał prywatne lotnisko i uczył pilotażu właścicieli awionetek.

Przyjechali z wizytą do Polski pod koniec lat 50., Kępczyński miał 10 lat i chłonał ich opowieści. Jak uciekali we wrześniu 1939 r. z Polski przez Rumunię do Francji, jak trafili do Anglii i wstąpili do RAF, wreszcie dramatyczne opisy walk powietrznych z niemieckimi lotnikami. – Byłem dumny, że mam taką rodzinę – mówi. – Kiedy szukałem bohatera na polski musical, od razu pomyślałem o nich.

Przez ponad rok pisał historię Niny, aktorki, tancerki kabaretowej i Jana – absolwenta szkoły lotniczej w Dęblinie. Zaręczają się we wrześniu 1939 r., potem wojna ich rozdziela na lata. – Historia moich wujów nie była tak dramatyczna, a już na pewno nie było w niej żadnego kabaretu. Ale ja chciałem umieścić ten wątek, musical to lubi – wyznaje reżyser.

Kiedy PiS wygrało wybory parlamentarne i zaczęła się realizacja nowej polityki historycznej, Kępczyński obawiał się, że zostanie posądzony o podlizywanie się nowej władzy. Nie chciał wpuścić polityki do teatru.

– Kępczyński nie jest koniunkturalistą, który robi spektakl pod władzę i społeczne nastroje. Ale te nastroje wyczuwa – mówi Jacek Mikołajczyk, reżyser, autor książki „Musical nad Wisłą”. – Wyczuł rodzącą się dumę z polskich żołnierzy. Tak jak kino hollywoodzkie odbija nastroje społeczne Ameryki, tak samo robi to musical, który jest częścią masowej rozrywki. W 1943 r. cała Ameryka bała się o swoich żołnierzy, którzy brali udział w II wojnie światowej. Richard Rodgers i Oscar Hammerstein napisali wtedy „Oklahomę”, opowieść o narodowej zgodzie. Widać Amerykanie potrzebowali takiej historii.

BYLE NIE REKONSTRUKCJA

PODCZAS PRÓB ciągle powtarzał: mniej Sienkiewicza, więcej Spielberga. Bał się, żeby nie popaść w narodowy patos i koturnowość. Dlatego jego piloci bawią się, podrywają swoje nauczycielki angielskiego, tańczą boogie-woogie i piją.

– Uważał, żeby z „Pilotów” nie zrobić patriotycznej akademii – mówi Sebastian Gonciarz, reżyser związany z Romą. – Jak og-

nia unikał też dosłowności, nie chciał być teatralnym Bogusławem Wołoszańskim, który robi rekonstrukcję historycznych wydarzeń.

Kępczyński nie ukrywa, że napisanie autorskiego musicalu było jego ambicją. – Musical to bardzo precyzyjna robota, niczym matematyka. Tutaj można co do sekundy zaplanować, kiedy widz ma płakać, wzruszyć się, zaśmiać – mówi. – Poznawałem ten gatunek od 30 lat, reżyserowałem największe światowe tytuły i przyszedł moment, że chciałem sprawdzić, czego się nauczyłem. Miłość do musicalu dodawała mi skrzydeł. Byłem pewien tego, co robię, nie czułem lęku, czy mi się uda.

Współpracownicy podkreślają jednak, że podczas realizacji „Pilotów” były trudne momenty. – Pracuję z dyrektorem od 15 lat, ale po raz pierwszy widać było, że gryzie go, czy dobrze to napisał, czy jest to czytelne dla widzów – opowiada Janusz Kruciński, który gra rolę demonicznego szefa kabaretu.

Zwykle Roma organizuje 3-4 pokazy przedpremierowe, żeby aktorzy i ekipa techniczna weszli w rytm spektaklu. Teraz pokazów było dwukrotnie więcej. Kępczyński siedział na widowni i obserwował, jak reaguje publiczność: gdzie się śmieje, czemu nie płacze? Odetchnął dopiero po premierze.

MUSICAL DLA KLASY ŚREDNIEJ

WIZJONER, CZARODZIEJ, fanatyk musicalu. Miał 12 lat, kiedy w ambasadzie amerykańskiej zobaczył „West Side Story”. – To było coś niezwykłego: kolorowy, rozśpiewany świat, zdecydowanie atrakcyjniejszy od tego, co się działo w Polsce – wspomina.

PODCZAS PRÓB CIĄGLE POWTARZAŁ: MNIEJ SIENKIEWICZA, WIĘCEJ SPIELBERGA. BAŁ SIĘ, ŻEBY NIE POPAŚĆ W NARODOWY PATOS I KOTURNOWOŚĆ

W połowie lat 70. pojechał na stypendium do wybitnego aktora, reżysera i mima Jeana-Louisa Barraulta. Ale z Paryża najlepiej zapamiętał dwa musicale. „Godspell” opowiadający o grupie młodych ludzi, którzy wystawiają fragmenty Ewangelii św. Mateusza i antywojenny, hipisowski „Hair”. Kilka lat później, gdy zarabiał na życie, pracując na budowach w Londynie, wieczorami zakładał marynarkę i szedł na „Cats”, „Upiora w operze”, „Les Misérables”, „Grease”.

– To był najlepszy okres w historii musicalu i moja prawdziwa szkoła zawodowa – wspomina. – Skończyłem szkołę teatralną, ale nie ciągnęło mnie do teatru dramatycznego. Wiedziałem, że jest mi pisany musical.



Próba medialna do spektaklu „Piloci”, wrzesień 2017 r.



Jako dyrektor Teatru Powszechnego w Radomiu powołał Festiwal Gombrowiczowski, ale jako reżyser wystawił tam dwa świetnie przyjęte musicale – „Józef i cudowny płaszcz snów w technikolorze” i „Fame”. Radom okazał się dla niego za mały, w 1998 r. wygrał konkurs na dyrektora warszawskiej Romy.

Zaczął od sporu z zespołem, który liczył 350 osób na etatach. Teatr grał operetki, on chciał musicali. Oni uważali, że są wybitnymi artystami, on, że musi szukać nowych.

– Poprzedni dyrektor Bogusław Kaczyński zapewniał ich, że są lepsi niż soliści w La Scali. Wszyscy mieli przerośnięte ego do granic możliwości – wspomina. – Kiedy ogłosiłem, że robię „Crazy For You” i organizuję casting, pracownicy etatowi byli oburzeni. Wybuchł skandal i bunt.

Kiedy niezrównoważona pracownica popełniła samobójstwo, odpowiedzialnością obarczono nowego dyrektora. Na widowni 700 osób, a zespół nie wychodzi na spektakl. Wychodzi za to Kępczyński i przeprosza publiczność. Siwieje w jedną noc. – Większość osób po takiej akcji dałaby spokój, ale Wojtek się nie poddał – mówi Gonciarz.

– Nie miałem wyboru – mówi Kępczyński. – Wiedziałem, co chcę w życiu robić: najlepsze musicale. Chciałem, żebyśmy zobaczyli kawałek świata w Warszawie.

W czasie 20 lat jego dyrekcji w Romie można było oglądać „Koty”, „Grease”, „Upiora w operze”, „Miss Saigon”... – Pokazał ludziom, że warto marzyć. On najpierw wymyśla tytuł, jaki chciałby pokazać, a dopiero potem martwi się, czy to realne – mówi Daniel Wyszogrodzki, wieloletni kierownik literacki Teatru Roma.

– Kiedy Kępczyńskiego zaczyna kręcić jakiś musical, po prostu doprowadza do jego realizacji – śmieje się Gonciarz. – A potem okazuje się, że kilkaset tysięcy ludzi czekało właśnie na ten tytuł.

– Nasi widzowie potrzebują odprężenia: musical to rozrywka przez duże R, która posługuje się współczesnym językiem

scenicznym i muzycznym – opowiada Kępczyński o swojej filozofii musicalu. – A jednocześnie w odróżnieniu od operetki ma coś mądrego do powiedzenia. Ludzie chcą na chwilę uciec od rzeczywistości, zapomnieć o tym, co zostawili na zewnątrz teatru, przeżyć opowieść pełną emocji. I musical im to oferuje. Kiedyś musical w Polsce był oazą młodości, w „Metrze” czy „Grease” młodzi aktorzy opowiadają o swoich rówieśnikach. Z czasem stał się rozrywką klasy średniej, dzisiaj wypada na nim być.

POGOTOWIE W TEATRZE

LUBI STANĄĆ w kolejce do toalety, bufetu, pokręcić się po foyer i posłuchać, co mówią widzowie. Spektakle ogląda dwa razy w tygodniu. Nie ma żadnej łoży, tylko zwykłe rozkładane krzesło, na takich siada też obsługa widowni.

W pracy nie zna granic. W „Pilotach” jest bardzo efektowna scena zestrzelenia samolotu. – Podczas prób pirotechnik musiał ustalić, jak silny może być wybuch na scenie – mówi Gonciarz. Kępczyński sam usiadł w pierwszym rzędzie, żeby doświadczyć, co to znaczy być pięć metrów od eksplozji. – W „Les Misérables” najbardziej widowiskowym fragmentem jest scena walki na barykadzie. Szef sam stanął w miejscu, gdzie będą grali aktorzy, żeby wypróbować, czy zaplanowane wybuchy nie będą dla nich za mocne – wspomina Gonciarz.

„Nie zrobimy tej premiery” – krzyczy, kiedy coś nie idzie na próbach. Trzaska drzwiami i wychodzi. Aktorzy zamówili mu nawet kubek z tym hasłem.

Uczył się w szkole baletowej, skończył aktorską. Dobrze czuje się na scenie. – Podczas pracy nad każdym spektaklem przychodzi moment, kiedy coś nie idzie. Wtedy dyrektor wkracza na scenę, zaczyna tańczyć, śpiewać, pokazuje, o co mu chodzi – śmieje się Janusz Kruciński. – W „Deszczowej piosence” była scena, w której mam przewrócić się o ławkę w parku. Zdaniem dyrektora robiłem to mało wiarygodnie. „Pokażę ci, o co mi chodzi” – powiedział już wyraźnie poirytowany. Kiedy on się przewrócił, myśleliśmy, że połamał ręce i nogi.

Współpracownicy mówią, że jego największy talent to umiejętność dobierania odpowiednich ludzi. – Dwie największe osobowości musicalu to Andrew Lloyd Webber i Cameron Mackintosh – mówi Jacek Mikołajczyk. – Pierwszy jest kompozytorem i biznesmenem, drugi producentem. Bo musical nie potrzebuje artystów totalnych, którzy panowałiby nad całością. Wymaga kogoś, kto połączy profesjonalistów z różnych branż. I to przypadek Kępczyńskiego.

Kiedy pytam go, co proponuje po „Pilotach”, zapada milczenie. – Mieliśmy największe musicale. Z pierwszej dziesiątki nie było u nas tylko „Króla Lwa” i „Wicked”, ale one są u nas nie do zrealizowania. Pierwszy opiera się w 80 procentach na „czarnych” głosach. Drugi nawiązuje do słabo znanego w Polsce „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”.

Kępczyński wie jedno. „Pilotów” będzie grał co najmniej dwa lata. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl